

## **PRZEGLĄD SYTUACJI STRATEGICZNEJ – ASPEKTY GLOBALNE I REGIONALNE**

W ostatnim roku dwudziestego stulecia byliśmy świadkami wielu przejawów dynamicznej ewolucji porządku międzynarodowego, który nie okazywał oznak stygnięcia w jakiejś względnie stabilnej formule. Procesy globalizacji, które fascynowały wszystkich w ostatnich latach poprzedniej dekady, nie przybliżyły nas bynajmniej do jakiegoś klarownego ładu światowego. Okazuje się, iż nie znoszą dotychczasowych fundamentów i struktur życia międzynarodowego. Państwa pozostają przywiązane do swojej suwerenności, do roli prawa i instytucji międzynarodowych, i nic nie zdaje się zapowiadać odejścia do lamusa tradycyjnych reguł *Realpolitik*. Bezpieczeństwo nie przestaje pozostawać centralnym zagadnieniem polityki państw. Pokazuje to determinacja, z jaką Amerykanie lansują swój projekt NMD, dzięki któremu chcieliby stać się pierwszym w historii państwem posiadającym komfort bezpieczeństwa absolutnego, a także stały, choć niespektakularny postęp w tworzeniu przez UE struktur i potencjału swej własnej europejskiej polityki bezpieczeństwa. Dążąca do obrony swej pozycji międzynarodowej Europa, rosnąca rola Niemiec w sercu kontynentu, zwłaszcza w obliczu abdykacji Francji, energia, którą wykazuje nowy gospodarz Kremla w rewitalizacji państwa rosyjskiego i jego międzynarodowej pozycji, dopełniają obrazu zmian w strefie euroatlantyckiej. A przecież jest jeszcze Azja z kontynuującymi swój marsz ku potędze Chinami, zaostrzenie konfliktu na Bliskim Wschodzie... Wszystko to pokazuje, iż rządy i społeczeństwa nie mogą liczyć na „chwilę oddechu”, na radość z osiągniętego stanu bezpieczeństwa czy dobrobytu. Konieczna jest nieustanna, uważna analiza otaczającego nas środowiska międzynarodowego i wyciąganie wniosków, które umożliwią nam takie organizowanie wysiłku wewnętrznego i orientowanie strategii międzynarodowej, abyśmy dotrzyмали kroku tym przemianom, abyśmy uniknęli bezkierunkowego dryfowania i abyśmy mogli podmiotowo wpływać na kierunek rozwoju społeczności międzynarodowej, przynajmniej w jej euroatlantyckim fragmencie.

### **GLOBALNE MILENIUM**

Rok 2000 stał pod znakiem Milenium także w życiu międzynarodowym, obchody, uroczystości i podsumowania zaś skupiły się przede wszystkim w ONZ. Społeczność międzynarodowa, przywódcy państw, dyplomacje wszystkich regionów

i kontynentów uznały Milenium za dobrą okazję do debaty, sformułowania propozycji czy podjęcia *jakichś* decyzji w sprawach dotyczących przyszłości nie tylko Narodów Zjednoczonych, ale całego świata. Nie oczekiwano jednak przełomu nie było, nie mógł się on bowiem zrodzić z samej jedynie „magicznej” cezury – wejścia świata w trzecie tysiąclecie. Przełomy w procesie ewolucji porządku międzynarodowego nie pojawiają w związku z okrągłymi datami. Punkty zwrotne w historii życia międzynarodowego miały dotąd miejsce z reguły w nadzwyczajnych traumatycznych okolicznościach; w trakcie wielkich wojen lub wręcz długich okresów wielkich wojen. Od względnie łagodnego końca zimnej wojny ewolucja porządku międzynarodowego dokonuje się *inkrementalnie*, stopniowo poprzez włączanie się w istniejącą rzeczywistość nowych czynników i zjawisk, nawet jeśli procesy globalizacji przyśpieszyły gwałtownie ogólny rozwój ludzkości.

Przełom przez Narody Zjednoczone lub ramach tego systemu jest tym bardziej niemożliwy, iż najważniejsze decyzje podejmuje się tam przez konsensus, co z istoty wyklucza ich radykalny charakter. Dokonanie przełomu w Narodach Zjednoczonych musiałoby oznaczać, iż stało się to w drodze „dyktatu” jednej grupy państw nad innymi. Przełom tysiącleci został przeto potraktowany jako okazja do dokonania przez społeczność międzynarodową krytycznej oceny obecnego stanu i kierunków ewolucji spraw świata. Służył temu przede wszystkim **Szczyt Milenijny, czyli trzydniowe spotkanie (6–8 września 2000 r.) z udziałem niemal 150 szefów państw i rządów.**

W trakcie szczytu przeglądowi poddano najważniejsze zagadnienia międzynarodowe, a wśród nich: operacje pokojowe (poparcie dla przygotowanego w 2000 r. raportu Brahimiego, w którym położono nacisk na prewencję), rozbrojenie (nacisk na umacnianie reżimu nieprolifracji broni jądrowej i krytyka projektu systemu obrony przeciwrakietowej), globalizacja (walka z ubóstwem oraz przeciwdziałanie pogłębianiu się dysproporcji rozwojowych), rola instytucji globalnych, w tym zwłaszcza MFW, WTO i Banku Światowego (liczne postulaty ich reformy), poszanowanie praw człowieka i zasad demokracji (podkreślenie, także w raporcie UNDP, związku pomiędzy prawami człowieka a wzrostem i rozwojem gospodarczym), ochronę środowiska (nacisk na upowszechnienie Protokołu z Kioto do konwencji klimatycznej). Podnoszono także liczne postulaty dalszej i głębszej reformy ONZ, a zwłaszcza Rady Bezpieczeństwa.

Owoce szczytu było przyjęcie **Deklaracji Milenijnej**. W Deklaracji zawarto katalog wartości i zasad, które powinny stanowić podstawę życia międzynarodowego w nowym stuleciu: **wolność, równość, solidarność, tolerancja, poszanowanie przyrody, wspólna odpowiedzialność**. Mówi się w niej także sporo o celach współdziałania państw, również w kontekście „kierowania” procesami globalizacji. Wyodrębniono tu cztery wielkie grupy zagadnień. Po pierwsze, kwestie pokoju, bezpieczeństwa i rozbrojenia (umacnianie praworządności międzynarodowej, wzrost skuteczności operacji pokojowych, zwalczanie terroryzmu i przestępczości transgranicznej, ograniczanie handlu bronią). Po drugie, problemy rozwoju oraz walki z ubóstwem (redukcja długów krajów najbiedniejszych, rezygnacja z ceł na towary przez nie eksportowane, większa pomoc rozwojowa,

powstrzymywanie chorób pandemicznych). Po trzecie, w sferze ochrony środowiska za najważniejsze uznano działania na rzecz zachowania klimatu, utrzymania różnorodności biologicznej, ochrony lasów). Po czwarte, prawa człowieka (przestrzeganie postanowień Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka, ochrona grup słabszych, zwłaszcza kobiet, dzieci, migrantów, oraz współpraca na rzecz urzeczywistniania zasad i reguł demokracji). W Deklaracji mówi się również o potrzebie umacniania NZ i ich organów, w tym Zgromadzenia Ogólnego i Rady Bezpieczeństwa. Podobna problematyka była przedmiotem obrad następującego po Szczycie Zgromadzenia Milenijnego, czyli sesji ZO NZ. Spośród ważnych nowych elementów warto zwrócić uwagę na poniechanie debaty na temat interwencji humanitarnej (po interwencji NATO przeciwko FRJ stanowiło to główny przedmiot dyskusji w poprzednim roku), spadek zainteresowania problematyką praw człowieka, a także na coraz liczniejsze wezwania do przewartościowania całego mechanizmu sankcji w taki sposób, aby były dotkliwe dla rządzących, lecz nie uderzały w ludność cywilną kraju dotkniętego sankcjami. Co się tyczy toczącej się już od dziesięciu lat dyskusji na temat **reformy Rady Bezpieczeństwa, dla wszystkich coraz bardziej stawało się jasne, iż w miarę rosnącego dla poparcia dla reformy oddalają się szanse jej przeprowadzenia.**

Zgoda społeczności międzynarodowej wokół postulatu umocnienia ONZ, konieczności zacieśnienia współdziałania międzynarodowego, reformy instytucji międzynarodowych nie może jednak napawać nadmierną nadzieją, utrzymują się bowiem **istotne różnice co do wizji pożądanego porządku międzynarodowego.** W optyce krajów rozwiniętych, głównie zachodnich, ład międzynarodowy powinien charakteryzować się zmianą i postępem niesionym przez procesy globalizacji, rozprzestrzenianie się praw człowieka i demokracji, otwartość społeczeństw i liberalne gospodarki rynkowe. Stanowisko krajów słabiej rozwiniętych oraz mocarstw kontestujących obecny porządek światowy (Chin, Rosji) zasadza się na respektowaniu suwerenności, równości państw, postulacie demokratyzacji i wielobiegunowości stosunków międzynarodowych. Ta grupa państw wyraźnie też żywi obawy przed skutkami globalizacji i hegemonią USA w życiu międzynarodowym.

Nie ustaje dyskusja wokół różnych aspektów globalizacji; jej intensywność w 2000 r. miała związek z milenijnymi sesjami w Narodach Zjednoczonych, lecz toczyła się ona naturalnie także poza ramami NZ. W debacie na temat globalizacji nie pojawiły się zasadniczo nowe wątki – z jednym wyjątkiem, o którym poniżej. Także podział ról się nie zmienił. Zmienia się natomiast klimat owej debaty widoczny jest zwłaszcza **zanik triumfalizmu**, który charakteryzował jej wcześniejszą fazę. Globalizacja stała się niekwestionowanym faktem; wiadomo mniej więcej, na czym te procesy polegają. Pojawia się natomiast coraz więcej wątpliwości w odniesieniu do tezy o jej globalnie dobroczynnym wpływie na stan spraw światowych. Wprawdzie ONZ próbuje „cywilizować” globalizację, jednak pewnych jej rezultatów i związanych z nimi lęków nie da się oszukać. Globalizacji przypisuje się notowana w ostatnich latach eskalację niestabilności społecznej i ekonomicznej w wielu regionach świata, nieuzasadniony wzrost rozpiętości

w dochodach, poszerzanie się strefy ubóstwa oraz niepokojącą perspektywę cywilizacyjnej homogenizacji świata. W ciągu ostatnich pięciu lat liczba ludzi żyjących w bezwzględnym ubóstwie wzrosła z jednego miliarda do miliarda dwustu milionów. Liczba osób głodujących sięgnęła 830 milionów. W coraz liczniejszych raportach zauważa się także, iż „globalna ekonomia” została idealnie skrojona na potrzeby prania brudnych pieniędzy. Okazuje się na przykład, iż fikcyjne banki (będące jedynie skrytkami pocztowymi) na wyspie Nauru umożliwiły w 1998 r. transfer z Rosji około 70 mld USD; w niemałej mierze pochodzących z kredytów udzielanych hojnie przez MFW. Wreszcie, stymulowany globalizacją wzrost gospodarczy nie oznacza wcale przyrostu miejsc pracy, zwłaszcza w krajach i regionach mniej rozwiniętych. Przewodniczący milenijnej sesji ZO NZ, minister spraw zagranicznych Namibii, był w pełni uprawniony do postawienia dramatycznego pytania: „Globalizację postrzegamy także jako siłę niszczącą, stoją za nią bowiem te same narody, te same kolonialne potęgi, które były autorami globalnej kampanii na rzecz imperialnej kontroli nad zasobami i ludami w krajach zwanych obecnie Trzecim Światem. Czy możemy im wierzyć?”. W tym, mogłoby się wydawać, łączeniu wody z ogniem, czyli oswojaniu globalizacji, uświadamianiu realnych szans, które mogą stać się udziałem biednych i słabo rozwiniętych, w nakłanianiu wielkiego biznesu do większego zrozumienia dla społecznych aspektów globalizacji i przestrzegania pewnego kodeksu etycznego oraz współdziałania ze światem pracy i społeczeństwem obywatelskim, aktywną rolę stara się odgrywać sam sekretarz generalny ONZ, Kofi Annan. Przestrzega on także mocarstwa przed podejmowaniem w imię solidarności jednostronnych kroków. „Jeśli takie akcje podejmowane są przez jedno lub kilka państw na mocy ich własnych decyzji, wtedy te państwa stwarzają **niebezpieczeństwo światowej anarchii**”<sup>1</sup>.

Przypisywana niewidzialnej ręce rynku i konkurencji moc rozwiązywania problemów okazała się szczególnie zawodna w procesach globalizacji. Doskonałą ilustracją tej sytuacji stało się pęknięcie w ostatnich miesiącach odchodzącego wieku **mydlanej bańki „nowej ekonomii”**. W jednym z „nekrologów” napisano: „nawet nie można powiedzieć, że umarła (nowa ekonomia – red.), nigdy bowiem nie istniała. Była jedynie modą, która przeminęła niemal bez ostrzeżenia”. Zupełnie absurdalne, wydawać by się mogło, kłopoty energetyczne Kalifornii, której potencjał plasował ją wśród dziesięciu najpotężniejszych gospodarek świata, potwierdził nieprzemijalne i podstawowe znaczenie „starej ekonomii” oraz fałszywość obietnicy wszechobejmującej deregulacji. Nie pozostanie to bez wpływu na myślenie i praktykę, które zdominowały w ostatnich latach działalność WTO i proces globalnych negocjacji handlowych (falstart rundy milenijnej może okazać się nie tak przypadkowy, jak próbowano to początkowo w tym środowisku bagatelizować). Moises Naim, redaktor naczelny „Foreign Policy”, ujmuje prob-

<sup>1</sup> K. Annan, *A Deal With Business to Support Universal Values*, „International Herald Tribune” z 26 lipca 2000 r.; B. Crossette, *Globalization Battle Moves to UN*, „International Herald Tribune” z 4 października 2000 r.

lem następująco: „Korporacje nowej ekonomii i technologii stawiają na szybkość, decentralizację, indywidualizm oraz wykazują lekceważenie dla geografii, granic i suwerenności. Multilateralizm oznacza zwykle powolność podejmowania decyzji, niejasność celów, superwrażliwość na jakąkolwiek realną lub symboliczną erozję suwerenności. Zderzenie między duchem nowej ekonomii i kulturą wielostronnego podejmowania decyzji odegra kluczową rolę w określeniu sposobu, w jaki cyfrowa rewolucja ogarnie świat”.

Nowym elementem w dyskusji o globalizacji jest odejście od triumfalistycznych zapowiedzi rychłego odesłania państwa na „śmietnik historii”; państwa, które w oczach proroków globalizacji zawadzało w drodze globalnego postępu, a zatem było skazane na zredukowanie do symbolicznych atrybutów flagi i hymnu. W ostatnim okresie pojawiła się świadomość konieczności aktywizacji rządów wobec przejawów i efektów globalizacji. Trafnie pisze o tym Fareed Zakaria, do niedawna redaktor „Foreign Affairs”: **„Globalizacja nadchodzących 10 lat będzie się różnić od tej z ostatnich 10 lat. Polityka zagraniczna będzie się mniej koncentrować na ekonomicznej stronie globalizacji, bardziej zaś na politycznej.** W latach 90., w pierwszej fazie globalizacji, niepodzielnie panowała ekonomia. Po dekadach flirtu z etatyzmem wiele krajów świata zdemontowało instrumenty kontroli w sferze gospodarczej, dokonało deregulacji w przemyśle oraz zliberalizowało swe gospodarki. Teraz, gdy rynki kapitałowe napięły muskuły, państwa spostrzegły, że tracą kontrolę nad własnym losem. (...) Ignorowanie politycznego wymiaru globalizacji ma swój koszt”. I nawiązując do tego, co nastąpiło po ostatniej erze globalizacji, które miała miejsce pod koniec XX wieku, dodaje „Wszystkie wspaniałe osiągnięcia nowej globalnej ekonomii – obniżanie kosztów, redukcja granic, ułatwiania w komunikacji – sprzyjają w takim samym stopniu terrorystom i kryminalistom, co biznesmenom. I tylko dobrze wykonywana władza – militarna, gospodarcza i polityczna – może stawić czoło tym zagrożeniom. (...) Dzisiaj ekonomiczna strona globalizacji jest w dobrej formie, polityczna – nie”<sup>2</sup>. Należy o tym pamiętać także w Polsce, w której nie brakuje niemal neofickiej wiary w ogólnie dobroczynne skutki globalizacji.

O niemocy polityki wobec presji interesów ekonomicznych świadczy niemożność ostatecznego uzgodnienia przez społeczność międzynarodową **Protokołu z Kioto** (do konwencji ramowej w sprawie zmian klimatu); chodzi tutaj o przeciwstawienie się jednej z najbardziej dotkliwych konsekwencji rozwoju globalnej ekonomii – globalnemu ocieplaniu się. Fiasko listopadowej konferencji w Hadze, której celem było dopracowanie i akceptacja procedur i mechanizmów dotyczących implementacji Protokołu, pokazało, iż nad wspólnym interesem całej ludzkości górę wzięły ekonomiczne, partykularne interesy głównych stron sporu: Stanów Zjednoczonych, które są głównym producentem gazów cieplarnianych,

<sup>2</sup> M. Nim, *New economy, old politics*, „Financial Times” z 22 grudnia 2000 r.; W. Pfaff, *The Development Numbers Say Economic Globalism Has Failed*, „International Herald Tribune” z 4 lipca 2000 r.; R.J. Samuelson, *The „New Economy” Was Foolish Optimism* oraz F. Zakaria, *Back to the Future: Globalization Grows Up and Gets Political*, „International Herald Tribune” z 3 stycznia 2001 r.

i kilku innych krajów (np. Rosji, Japonii), Unii Europejskiej oraz Grupy 77. Rzecz znamienna, odpowiedzialność za niepowodzenie konferencji w Hadze ponoszą solidarnie wszystkie trzy grupy krajów, a złożyły się na nie: egoizm jednych, taktyka negocjacyjna i doktrynerstwo drugich oraz chciwość trzecich. Problem jest tym poważniejszy, że według raportu przygotowanego przez kilkuset naukowców i ekspertów z całego świata na styczniową (2001) konferencję ONZ-owskiego Międzyrządowego Panelu ds. Zmian Klimatycznych w Szanghaju, globalna temperatura rośnie znacznie szybciej niż kiedykolwiek w okresie ostatnich 10 tysięcy lat. Spowoduje to podniesienie się poziomu mórz i oceanów oraz zalewanie nisko leżących obszarów, pustynnienie gleb, a co za tym idzie, ogromne migracje ludności już w tym stuleciu. Ogłoszone także w styczniu raporty różnych organizacji międzynarodowych wskazują na dramatycznie pogarszającą się sytuację europejskiego ekosystemu, głównie z powodu postępującego wylesienia kontynentu, czego skutkiem jest degradacja gleb, ubożenie bioróżnorodności czy rosnący deficyt bilansu wodnego.

Do rangi problemu globalnego urosła w roku 2000 demokracja. Stało się to za sprawą amerykańsko-polskiej inicjatywy „**Towards a Community of Democracies**”. Społeczność międzynarodowa dojrzała do tego, aby zająć się – podobnie jak już wcześniej innymi wielkimi problemami (prawa człowieka, wyścig zbrojeń, problem ludnościowy czy wyżej wymieniony klimat) – zagadnieniem rozwoju i umacniania demokracji w skali globalnej. Empirycznie stwierdzone związki między demokracją a rozwojem gospodarczym, pokojem i bezpieczeństwem, poszanowaniem praw człowieka skłoniły państwa inicjujące do utworzenia szerokiej międzynarodowej koalicji na rzecz demokracji. Uznano zarazem, że problem stanowi nie tylko brak demokracji, kruchość czy odwrót od jej zasad, ale także, iż nowe zagrożenia dla demokracji płyną właśnie z procesów globalizacji. Należy do nich działalność wielkich mediów i korporacji, która przekształca „obywatela” w „konsumenta” oraz zmierza do podporządkowania polityki (demokratycznie legitymizowanego państwa) nieodpowiedzialnej przed nikim i kierującej się przede wszystkim logiką zysku „władzy ekonomii”. W dniach 25–27 czerwca 2000 r. odbyła się w Warszawie wielka konferencja „Ku wspólnocie demokracji”, w której wzięli udział przedstawiciele 107 państw (znakomita większość na szczęblu ministrów spraw zagranicznych) oraz najważniejszych organizacji międzynarodowych (w tym sekretarz generalny NZ Kofi Annan). Owocem konferencji było przyjęcie **Deklaracji Warszawskiej**, w której określa się standardy demokratyczne oraz zobowiązuje państwa-sygnatariuszy Deklaracji do współdziałania na rzecz demokracji ponad dotychczasowymi podziałami. Zawiązana na tej konferencji koalicja państw nie jest wprawdzie nową instytucją międzynarodową, lecz ma działać na rzecz demokracji w różnych formach i z wykorzystaniem istniejących organizacji. W następnych latach odbędą kolejne konferencje „Wspólnoty demokracji”<sup>3</sup>.

<sup>3</sup> Zob. szerzej, w tym dokumenty konferencji: „Sprawy międzynarodowe” 2000, nr 2; R. Kuźniar, *Demokracja – niewidzialne zagrożenia*, „Tygodnik Powszechny” z 17 września 2000.

Celem podsumowania obecnego stanu rzeczy (realnych procesów i dyskusji) przytoczmy opinię jednego z ideologów *global governance* (globalnego rządzenia), którym jest Claude Smadja, dyrektor Światowego Forum Ekonomicznego (Davos): „To był zły rok dla globalnego rządzenia. Jeśli sprawy będą się toczyć jak dotychczas, motor postępu (procesy globalizacji – red.) ulegnie awarii”. Autor, jak się zdaje, winą za ten stan rzeczy obarcza przywódców państw („wydawanie komunikatów po fotogenicznych spotkaniach na szczycie nie może być substytutem globalnego rządzenia”). Postulat „globalnego rządzenia” niezmiennie ogranicza się jednak do określania jego przesłanek i formułowania argumentów na jego rzecz, natomiast amorficzny i mglisty pozostaje mechanizm („ustrój formalny”) globalnych rządów, a zwłaszcza jego społeczna i polityczna legitymizacja<sup>4</sup>.

### DOKĄD PÓJDZIESZ, AMERYKO?

Kres prezydentury Billa Clintona, o którym napisano, iż był wybitnie uzdolnionym politykiem, lecz którego „charakter szkodził jego zdolnościom, a ostatecznie także jego partii i jego polityce”, zrodził zasadnicze pytania o kierunek polityki Stanów Zjednoczonych po Clintonie. George W. Bush zamierza odciąć się „grubą kreską” od polityki swego poprzednika. Nie będzie to łatwe, gdyż wprowadzie Ameryka była znużona Clintonem i niskimi standardami moralnymi jego administracji, lecz w dużym stopniu akceptowała jego politykę. Sytuacje Busha jr. utrudnia ponadto sposób jego wyboru, który sprawił, iż polityczne podstawy jego prezydentury są bardzo kruche.

Problem nie ogranicza się do samej prezydentury Busha, lecz do wizerunku Ameryki w świecie i podstaw jej aspiracji do przewodzenia światu. Jedną z tych podstaw stanowiła dotąd siła jej demokracji, o której Amerykanie sądzą, że powinna być wzorem do naśladowania przez resztę świata. Tymczasem organizacja i procedura ostatnich wyborów prezydenckich w USA **zakwestionowała fundamentalną zasadę demokracji – wolę narodu** (*will of people*) jako podstawę autorytetu i prawowitości władzy. Oto bowiem, ze względu na specyficzną konstrukcję ordynacji wyborczej, prezydentem został kandydat, który otrzymał mniejszą liczbę głosów niż jego rywal. Ponadto, nigdy nie dowiemy, się jaki był naprawdę wynik głosowania na Florydzie; na przeszkodzie stanęła interpretacja prawa przez sądy. Zwycięstwo Busha umożliwiła przewaga procedur i prawników nad wolą większości wyborców. Na postępującą degenerację amerykańskiego wymiaru sprawiedliwości wyrażającą się w prymacie procedur nad prawdą (w procesach karnych i cywilnych) wskazuje się już od dawna; w głośnej przed kilku laty sprawie O.J. Simpson został uniewinniony z zarzutu morderstwa w procesie karnym oraz uznany za winnego w procesie cywilnym. Obecnie formalistyczna degeneracja prawa wchodzi w obszar polityki, podważając fundament demokracji<sup>5</sup>.

<sup>4</sup> C. Smadja, *The dangers of a divided world*, „Financial Times” z 21 stycznia 2001 r.; tegoż: *Wake up to globalization: the sequel*, „Time” z 29 stycznia 2001 r.

Pierwsze oceny „dziedzictwa” Clintona są bardzo zróżnicowane. Krytyczni komentatorzy twierdzą, iż jego „zasługą” jest zapoczątkowanie nowego typu polityki – „**the politics of a cynical New Age**”. J. Hoagland uważa, że „Bill Clinton nie stanowił aberracji w sposobie uprawiania polityki. Nie odejdzie od nas styl polityki uprawianej przez najnowsze pokolenie wyżu demograficznego. (...) Jego prezydentura potwierdza, że Mr. Clinton, chociaż niepowtarzalny i jedyny w swoim rodzaju, nie był przypadkiem odosobnionym. Okazał się prekursorem i pionierem ugładzonej, cynicznej nowej epoki, w której polityka została zdominowana przez zabijaków, handlarzy reklam panoszących się w stacjach radiowo-telewizyjnych i przez zadowolone z siebie media dbające tylko o własny interes. (...) Nadaktywność Clintona sprawiała, iż większą wagę przywiązywał on do tego, jak jego działanie było odbierane medialnie, niż jakie przynosiło skutki. Był to, podsumowuje Hoagland, raczej Biały Dom idei – dobrych i złych, dużych i małych – niż wartości (Kennedy, Reagan) lub równowagi (Eisenhower)”<sup>6</sup>.

W sferze polityki zagranicznej administracja Clintona będzie się wiązać z procesem globalizacji. Można wręcz powiedzieć, że politykę zagraniczną tego okresu określała nigdy nie sformułowana wprost „**doktryna globalizacji**”. Polegała ona na generowaniu tego procesu, na zrozumieniu korzyści, jakie przynosi on Ameryce, na usuwaniu przeszkód dla nieskrępowanego rozwoju procesu globalizacji we wszystkich jego wymiarach (od handlu po nieograniczony marketing amerykańskich wartości) oraz na zapewnieniu Stanom Zjednoczonym, także przy użyciu instrumentów militarnych, pozycji globalnego, quasi-hegemonicznego mocarstwa (które określa reguły gry, lecz samo im nie podlega). Twórca konceptualnego zaplecza dla polityki globalizacji, wzbraniający się przed terminem „doktryna”, szef Krajowej Rady Bezpieczeństwa Samuel R. Berger napisał: „Ameryka nie musi się tłumaczyć z tego, że jest *hipermocarstwem* (nawiązanie do terminu, którym posłużył się w formie ostrzeżenia prezydent J. Chirac – red.); Ameryka musi zachować swoją pozycję (*authority*) hipemocarstwa”<sup>7</sup>. Zarazem jednak globalistyczna Ameryka zaczęła wzbudzać obawy, niechęć i poczucie zagrożenia wśród różnych państw świata, co najsilniej ujawniło się wśród jej tradycyjnych przyjaciół i sojuszników, to znaczy w Europie. Uczucie lęku w obliczu niepowstrzymanej siły Ameryki mieszało się z pogardą dla merkantylnej organizacji jej społeczeństwa i kultury.

Ostatni rok przyniósł w Stanach Zjednoczonych wzrost obaw w związku z perspektywą militarnej niezależności Unii Europejskiej, choć na razie jest ona odległa. W stosunku Waszyngtonu wobec inicjatywy ESDP widoczna była pewna

<sup>5</sup> J.M. Balkin, *How Politicians Exploit „The Will of the People”*, „International Herald Tribune” z 14 grudnia 2000 r.

<sup>6</sup> J. Hoagland, *Clinton’s Legacy? The Politics of a Cynical New Age*, „International Herald Tribune” z 6 listopada 2000 r. „Nadaktywność prowadziła Clintona na manowce wielkości (*grandeur*), jak wtedy, gdy postawił sobie za cel odtworzenie amerykańskiego modelu etnicznej i rasowej integracji na Bałkanach”.

<sup>7</sup> S.R. Berger, *A Foreign Policy for the Global Age*, „Foreign Affairs”, listopad–grudzień 2000 r.



dwoistość. Niekiedy amerykańscy politycy wyrażali zadowolenie z tego, iż Europejczycy postanowili wyposażać się w militarne zdolności do podejmowania operacji reagowania kryzysowego, i wręcz publicznie ich do tego zachęcali, jak Clinton w swoim głośnym wystąpieniu w Akwizgranie, 2 lipca 2000 r.: „silniejsza, bardziej niezależna Europa będzie musiała w mniejszym stopniu polegać na sile Ameryki w kwestiach militarnych czy dyplomatycznych oraz będzie mogła ponosić większą odpowiedzialność w sytuacjach kryzysowych”. W podobnym duchu wypowiedział się szef Pentagonu B. Cohen na dorocznym, nieformalnym spotkaniu ministrów obrony NATO w Birmingham, w październiku 2000 r. Jednakże on sam, już na spotkaniu oficjalnym na początku grudnia, kilka dni przed szczytem UE w Nicei, ostrzegł, iż USA nie dopuszczą do powstania w łonie sojuszu unijnego *caucus*, a jeśli kraje UE postanowią tworzyć swoją politykę bezpieczeństwa w oderwaniu od NATO, wtedy **Sojusz stanie się „reliktem przeszłości”**. Nagłośnie wystąpienie Cohena było z jednej strony próbą wpływnięcia na decyzje, które kraje UE miały wkrótce podjęte w sprawie ESDP, z drugiej jednak ujawniło ukryte, głębsze obawy. USA obawiają się mianowicie postępującej delegitymizacji Sojuszu Atlantyckiego, w miarę jak Europa będzie się czuła coraz silniejsza i coraz bardziej bezpieczna. Ameryka zaś potrzebuje NATO jako uzasadnienia dla swej militarnej obecności w Europie; sojusz pozostaje wszakże najważniejszym przyczółkiem obecności Stanów Zjednoczonych poza ich własnym terytorium, głównym filarem ich globalnej roli. Silna politycznie, finansowo, handlowo, a wreszcie także militarnie Europa nie zechce dłużej odgrywać roli młodszego brata<sup>8</sup>.

Innym dużym problemem amerykańskiej polityki zagranicznej, w stosunku do którego Waszyngton nie potrafi znaleźć właściwego podejścia, jest Rosja. Bilans polityki Clintona i jego rządu w tym zakresie okazuje się bardzo nierówny. Nie można tej polityce odmówić pewnych sukcesów, które polegały na powstrzymaniu i odwodzeniu Rosji od bardziej agresywnych kroków w stosunku do jej bezpośredniego otoczenia, utrzymywaniu intensywnego i konstruktywnego dialogu z Moskwą, włączaniu Rosji w różne formy współpracy wielostronnej (m.in. z NATO, przyłączenie Rosji do G-7), oswojaniu jej z cywilizowanymi formami życia międzynarodowego. Z drugiej strony mieszanina idealizmu, naiwności, powierzchowności analizy, pragnienia sukcesu sprawiły, iż do Rosji wiano gigantyczne pieniądze, które stały się jednym z głównych źródeł korupcji w tym kraju. Wbrew zdrowemu rozsądkowi nadano Rosji status kraju demokratycznego, złodziejskie uwłaszczenie ogłoszono jako narodziny liberalnej gospodarki rynkowej, popierając bezwarunkowo tzw. oligarchów (zwanych żargonie „ekonomistów złodziejskimi baronami”) i współdziałając z nimi. W sumie przyczyniono się w ten sposób do pozbawienia w oczach rosyjskiego społeczeństwa wiarygodności demokracji oraz wiary w sens wyrzeczeń koniecznych dla przeprowadzenia

---

<sup>8</sup> G. Baker, *Washington's unspoken doubts about Europe*, „Financial Times” z 5 października 2000 r.; F. Bonnart, *U.S. Starts to Fret Over EU Military Independence...*, „International Herald Tribune” z 24 maja 2000 r.

reform gospodarczych. Starając się utrzymać dialog z Moskwą w sprawach nuklearnych i nieprolifracji, Waszyngton był gotów płacić wysoką moralną cenę tolerancji dla łamania w Rosji praw człowieka, a zwłaszcza klęski humanitarnej i ludobójstwa w Czeczenii. Administracja Busha zapowiada odejście od dotychczasowej polityki USA wobec Rosji. Ma to oznaczać koniec iluzji w sprawie stanu demokracji i zaawansowania reform gospodarczych w Rosji. Nowy szef Krajowej Rady Bezpieczeństwa, Condoleezza Rice, powiada, iż „Gospodarcza przyszłość Rosji jest teraz w rękach Rosjan. Do nich należy decyzja o podjęciu reform strukturalnych (...)”. Ameryka Busha nie chce już dłużej finansować tworzonych przez siebie złudzeń. Stosunki z Rosją mają dotyczyć przede wszystkim kwestii bezpieczeństwa: AMB, NMD, START-III, nieprolifracji<sup>9</sup>. Wkrótce się okaże, czy to podejście okaże się skuteczne. Rosyjski repertuar wodzenia Zachodu za nos, wygrywania właściwej zachodnim politykom mieszanki próżności, lęków, iluzji, myślenia życzeniowego jest bardzo bogaty.

Wielu, także amerykańskich obserwatorów niepokoi **rosnące użycie siły w polityce zagranicznej USA**. Jedni uważają to za naturalny trend, wynikający z roli światowego żandarma, jaką odgrywa ten kraj. Popierając wzrost wojskowego zaangażowania USA, domagają się zwiększonych wydatków na cele wojskowe, a zwłaszcza na konieczne, ich zdaniem, utrzymanie przewagi technologicznej Stanów Zjednoczonych nad resztą świata. Inni zaś twierdzą, że nawet połowa obecnego budżetu obronnego USA wystarczyłaby, aby zapewnić temu krajowi bezpieczeństwo. Za groźne dla bezpieczeństwa międzynarodowego oraz bezpieczeństwa samej Ameryki uznają dążenie do zapewnienia sobie absolutnego bezpieczeństwa, czyli militarnej przewagi nad wszystkimi potencjalnymi przeciwnikami razem wziętymi. Celnie ujął to brytyjski analityk Philip Stephens: „Kłopot z imperiami polega na tym, iż mają one zbyt wiele granic”. (...) Gdziekolwiek spojrzą, tam znajdują jakieś swoje interesy, których muszą bronić. (...) Podobnie jest z USA. Im większy jest zasięg ich wpływów, tym bardziej niepokoją się o swoje bezpieczeństwo. Wyższość i przewaga Ameryki wytworzyły odmienną psychologię. Niekwestionowana potęga Ameryki musi chronić się przed najmniejszym zagrożeniem. Im większa jest jej militarna przewaga, tym bardziej pewne musi być, że jej obywatele są bezpieczni, a siły zbrojne nie muszą być konfrontowane z okrutną rzeczywistością działań wojennych. Muszą bombardować z wysokości 15 tys. mil i odpalać rakiety z bezpiecznej odległości od pola walki”<sup>10</sup>. Obserwując amerykańską debatę na temat bezpieczeństwa, można odnieść wrażenie, że głównym zmartwieniem najpotężniejszego światowego mocarstwa stał się jego własny, rzekomo zbyt skromny, potencjał militarny. Bardzo wielu ekspertów i polityków domaga się głośno większych nakładów i radykalnej modernizacji sił zbrojnych USA. Podobny punkt widzenia Amerykanie chcą zresztą narzucić swoim sojusznikom.

Przypomnijmy w skrócie, o jaki potencjał tu chodzi. Chodzi mianowicie o siły zbrojne liczące 1,4 mln żołnierzy, z czego około 250 tysięcy stacjonuje poza

<sup>9</sup> C. Rice, *Siła bez arogancji*, „Gazeta Wyborcza” z 19 stycznia 2001 r.

<sup>10</sup> P. Stephens, *Vulnerability of a superpower*, „Financial Times” z 5 stycznia 2001 r.

granicami USA, mających do dyspozycji niemal 600 baz we wszystkich częściach świata; ich – najwyższy na świecie – budżet wynosi około 300 mld USD i jako jedyny na świecie znacząco rośnie. W skład tego potencjału wchodzi także ok. 7000 strategicznych głowic nuklearnych. Skłoniło to jednego z obserwatorów do określenia dyplomacji USA jako „czterogwiazdkowej polityki zagranicznej”; miał on na myśli rolę czterogwiazdkowych generałów, którzy są szefami czterech regionalnych dowództw w siłach zbrojnych USA, pokrywających swym zasięgiem dokładnie cały świat<sup>11</sup>. Zdaniem wielu analityków trudno jest właściwie znaleźć racjonalne przyczyny tej sytuacji, w gruncie rzeczy bowiem Ameryka nie ma poważnych, godnych siebie przeciwników. Nie jest takim przeciwnikiem, mimo swego nuklearnego potencjału, Rosja. Według czerwcowego (2000 r.) raportu Pentagonu, nie staną się nim także w nadchodzących latach Chiny. Co więcej, w ostatnim roku swego urzędowania administracja Clintona oficjalnie **zrezygnowała z określania pewnych krajów jako „hultajskie” (tzw. *rogue states*) na rzecz terminu *states of concern* (budzące niepokój)**. Zdaniem niektórych komentatorów posługiwanie się kategorią „państw hultajskich” od samego początku nie miało sensu. Pisano, iż było ono przejawem pewnej paranoi, wyolbrzymiania zagrożeń, arogancji wzbudzającej za granicą niechęć wobec USA, a w końcu okazało się nieproduktywne<sup>12</sup>. Gdzie zatem należy szukać „racjonalnych” przyczyn rosnącej militarystyki amerykańskiej polityki zagranicznej? Pierwszą z nich jest z pewnością niewidzialna dla zewnętrznego obserwatora presja „kompleksu wojskowo-przemysłowego” (przed którym już w 1959 r. ustępujący D. Eisenhower ostrzegał J. Kennedy’ego). Dotyczy to w szczególności projektu NMD, którego ewentualna realizacja wiązałaby się z idącymi w setki miliardów USD (!) zamówieniami. Drugi, być może głębszy powód tkwi w pewnym zjawisku socjopsychologicznym. Nadzwyczaj trafnie ujmuje to Z. Brzeziński: „Nawet dość bogate amerykańskie przedmieścia są w rosnącym stopniu przecinane liniami demarkacyjnymi, które dzielą je na oddzielnie chronione superbogate strefy. Także zjawisko, które twórcy tych osiedli zwą eufemistycznie „strzeżonymi wspólnotami” (*gated communities*), odzwierciedla niepokojącą kombinację społecznej paranoi i pretensjonalnego snobizmu. Niestety, **ewentualna decyzja USA o rozmieszczeniu narodowego systemu przeciwrakietowego przekształci Amerykę w taką strzeżoną wspólnotę w skali międzynarodowej**”<sup>13</sup>.

<sup>11</sup> Ci czterej regionalni dowódcy (CINCs – *commanders-in-chief*) „są współczesnym odpowiednikiem prokonsulów w rzymskim imperium: dysponują sporymi funduszami, mają dużą samodzielność, są niekonwencjonalnymi centrami polityki zagranicznej USA”. D. Priest, *Four-Star Foreign Policy: U.S. Military’s New Role*, „International Herald Tribune” z 29 września 2000 r.

<sup>12</sup> „Co gorsza – pisał W. Pfaff, było ono także beznadziejnie prostackie. Złożoność rzeczywistości traktowało w uproszczony sposób. Jego prawdziwe znaczenie sprowadzało się do karania małych krajów, które ośmieliły się rzucić wyzwanie przywódczej ambicji Stanów Zjednoczonych”, (w:) *From Rogue State to State of Concern to... the End of History*, „International Herald Tribune”, 1–2 lipca 2000 r.; Ph. Bowring, *‘Rogue’ States Are Overrated*, „International Herald Tribune” z 6 czerwca 2000 r.

<sup>13</sup> *U.S. Should Not Pursue a Missile Defense on Its Own*, „International Herald Tribune” z 6–7 maja 2000 r.

Projekt utworzenia przez Stany Zjednoczone narodowego systemu przeciw-rakietowego jest zagadnieniem o najwyższej randze międzynarodowej, ponieważ proces jego ewentualnej instalacji, niezależnie od skuteczności przedsięwzięcia, będzie mieć dalekosiężne międzynarodowe konsekwencje. W istocie, z czego Amerykanie prawdopodobnie nie zdają sobie do końca sprawy, **kwestia NMD ma mniejsze znaczenie dla bezpieczeństwa USA, może natomiast być katalizatorem poważnych perturbacji i zmian w porządku międzynarodowym, których kierunek i rezultaty dzisiaj trudno przewidzieć.** Jak wiadomo, po fiasku kolejnego testu na początku lipca ub.r., prezydent Clinton – wbrew stanowisku i presji kompleksu wojskowego (i Pentagonu) – postanowił na początku września odroczyć decyzję o równoczesnym nasileniu testów i rozpoczęciu instalowania pierwszych elementów tego systemu (koszty lipcowego, nieudanego testu wyniosły ok. 100 mln USD). Clinton po prostu nie wierzył w realność utworzenia systemu na tym etapie badań i rozwoju technologicznego. Ekipa prezydenta Busha jest niestety nieporównanie bardziej entuzjastycznie nastawiona wobec projektu NMD i jak się wydaje, stanowi on „flagowy okręt” jej polityki zagranicznej. Prezydent Bush i jego otoczenie są zdecydowani przyśpieszyć prace nad NMD. Różnice w stosunku do administracji Clintona polegają m.in. na tym, że Bush zamierza instalować NMD, nawet nie podejmując próby renegocjowania z Rosją Układu ABM z 1972 r., system NMD został umieszczony znacznie wyżej na liście priorytetów polityki bezpieczeństwa USA, oraz – co także bardzo ważne – system ma mieć globalny zasięg. Miałyby zatem chronić nie tylko terytorium Stanów Zjednoczonych, lecz także amerykańskie siły zbrojne stacjonujące w różnych regionach świata (Korea, Zatoka Perska itd.). Stacje przechwytyjące mogłyby być rozmieszczone także w Europie zapewniając w ten sposób ochronę sojusznikom.

Wiele powodów skłania analityków i polityków różnych państw do krytycyzmu pod adresem projektu NMD. Po pierwsze, jest to system technologicznie wątpliwy, który jednak nieuchronnie pociągnie za sobą wyścig zbrojeń. Wprawdzie Amerykanie twierdzą, iż jego zadaniem będzie przechwytywanie pojedynczych rakiet wystrzelonych przez któreś z państw „hultajskich” kategorii, nie zaś obron przed potencjałem głównych mocarstw nuklearnych, jednak z całą pewnością znacząco osłabi on skuteczność i wiarygodność tych ostatnich. Zmusi to pozostałe państwa do pracy nad sposobami i technologiami umożliwiającymi przenikanie na terytorium USA niezależnie od NMD. Po drugie, w istocie nie ma w tej chwili na świecie zagrożenia, które wymagałoby dyslokacji tego rodzaju systemu. Nawet „państwa hultajskie”, dla których przecież próba ataku na USA oznaczałaby z samobójstwo, można neutralizować w inny, przede wszystkim dyplomatyczny sposób. Pokazuje to ewolucja sytuacji na Półwyspie Koreańskim wizyta M. Albright w Korei Północnej, czyli na terytorium jednego z „hultajów”. Po trzecie, wyposażenie USA w taki system będzie je nieuchronnie usposabiać bardziej wojowniczo. Kraj niewrażliwy na najmniejszy nawet odwet będzie skłonny do szybkiego „sięgania po rewolwer” w obliczu najmniej poważnych nawet sytuacji, jeśli zechce narzucić swoją rację. Nie ma takiego społeczeństwa

(ani takiego przywódcy), które na dłuższą metę w takiej komfortowej sytuacji oparłoby się pokusie „urządzenia sytuacji po swojemu”. W przypadku Stanów Zjednoczonych problem nie wydaje się bynajmniej wydumany, biorąc pod uwagę to, co amerykańscy komentatorzy określają jako *bombing habit* Waszyngtonu (łatwością decydowania o bombardowaniu czy ataku raketowym celem „rozwiązania” problemu). Przypomnijmy niedawny przykład Związku Sowieckiego, który aby zapewnić sobie bezpieczeństwo, tak się zbroił, że stwarzał zagrożenie dla swego otoczenia, które z tego powodu także musiało się zbroić...

Budowa NMD będzie mieć poważne konsekwencje polityczne. Z dystansem lub sprzeciwem podchodzą do projektu zachodnioeuropejscy sojusznicy Stanów Zjednoczonych, przekonani, że stanowi on wyzwanie dla reszty świata i będzie pobudzał wyścig zbrojeń. Ich ocena zagrożeń jest odmienna od amerykańskiej. NMD, jako wyraz globalnej polityki bezpieczeństwa USA, skłoni UE do rozbudowy ESDP m.in. po to, aby Europa nie została zakładnikiem globalnych amerykańskich interesów – nie tylko w sferze bezpieczeństwa. To zaś będzie prowadzić do spadku znaczenia NATO i rozluźniania transatlantyckich więzów bezpieczeństwa. Silny sprzeciw wobec NMD, choć z innych powodów, wyrażają Moskwa i Pekin. W opinii tych państw projekt wyraża dążenia USA do hegemonii w świecie i utrwalenia jednobiegunowej struktury porządku międzynarodowego. Oba kraje zapowiadają, iż podejmą wszelkie niezbędne kroki, aby NMD nie stał się nieprzenikalną tarczą, zapewniającą Ameryce stuprocentową nietykliwość. Mogą one stanąć na czele nieformalnej koalicji państw kontestujących hegemonię Waszyngtonu. Jeden z amerykańskich komentatorów stwierdzał, iż „**program NMD może zniszczyć istniejącą światową równowagę nuklearną, doprowadzić do wznowienia wyścigu zbrojeń oraz demontażu sojuszu państw zachodnich.** Nawet najlepsi nasi przyjaciele nie są w stanie pojąć, co robi Ameryka”<sup>14</sup>. Latem 2000 r., grupa pięćdziesięciu laureatów Nagrody Nobla podpisała list do prezydenta Clintona, wzywając go do odrzucenia projektu NMD, który określiła jako „marnotrawiący środki i niebezpieczny”. Żadna próba racjonalizacji „nowego wzoru strategicznego” (kres zimnej wojny to możliwość zmniejszenia ofensywnego potencjału raketowego na rzecz rozbudowy obronnego, pojawienie się nowych zagrożeń, rozwój technologii) nie jest w stanie zneutralizować niebezpieczeństw, które wraz z budową NMD pojawią się w rozstrzygającej dla sytuacji bezpieczeństwa międzynarodowego warstwie psychologiczno-politycznej<sup>15</sup>.

<sup>14</sup> W. Pfaff, *America's Infatuation With Missile Defense Baffles Europe*, „International Herald Tribune”, 8 czerwca 2000. Z. Brzeziński mówi w tym kontekście: „Lęk przed terroryzmem przerodził się w irracjonalną paranoję, która objawia się szczególnie brzydko, gdy jej ucieleśnieniem stał się brodaty muzułmanin. Stanie się to poważnym problemem społecznym. A łączy się z tym niemal równie irracjonalne domaganie się absolutnego bezpieczeństwa. Amerykanie muszą w końcu nauczyć się, że w nowym stuleciu są równie narażeni na niebezpieczeństwa, jak każdy inny naród na tym świecie”. Wywiad ze Z. Brzezińskim (*Bush wcale nie jest głupi*) dla „Der Spiegel” (1 stycznia 2001 r.); przedruk w „Forum” z 14 stycznia 2001 r.

<sup>15</sup> R.N. Haass, *Nowy wzór strategiczny*, „Rzeczpospolita” z 1–2 lipca 2000 r.; F. Lewis, *It's Time to Say 'No' Again to the Nuclear Menace*, „International Herald Tribune” z 12 maja 2000 r.; J. Lindsay and M. O'Hanlon, *Rapid Deployment on Missile Defense Is a Bad Idea*, „International Herald Tribune” z 27 grudnia 2000 r.

Pierwsze tygodnie nowej administracji nie dają wystarczających podstaw do dalej idącej oceny. W ocenach dokonywanych przez samych Amerykanów uderza ton pozytywnego zaskoczenia. Nieprzychylny Bushowi i popierający Clintona „The New York Times” (12 lutego 2001 r.) nie kryje zaskoczenia: „**G.W. Bush zademonstrował, iż traktuje prezydenturę poważnie**”. Powyższa konstatacja pojawiła się w pełnym oburzenia komentarzu do „nikczemnego zachowania Clintona” w ostatnich dniach jego kadencji (ułaskawianie oszustów finansowych wspierających partię demokratyczną, w tym kampanię H. Clinton, plądrowanie Białego Domu, przyznanie się do kłamstw w sprawie Moniki Lewinsky). Nowa ekipa istotnie rozpoczęła urzędowanie w sposób potwierdzający jej programowe zapowiedzi, których fundamentem jest doktrynalny realizm. Wbrew wcześniejszym obawom i przestrogom nie okazała się ona izolacjonistyczna. Przeciwnie, zapowiada „internacjonalizm”, lecz nie interwencjonizm (atak na Irak 16 lutego 2001 r. zdaje się przeczyć wcześniejszym zapowiedziom, choć może kontynuacją linii ojca obecnego prezydenta). Po ideologicznej prezydenturze Clintona pojawiła się zapowiedź „umiarkowanej dyplomacji” (C. Powell), co zostało dobrze i z ulgą przyjęte przez wiele krajów na świecie, zmęczonych „wszędobylstwem zarozumiałej i zadufanej Ameryki”. Wśród tych zapowiedzi znajduje się odchodzenie od polityki sankcji, zmniejszenie militarnej obecności USA w świecie, większa powściągliwość w stosunku do Rosji, radykalna reforma Pentagonu, gotowość do przekazania UE większej odpowiedzialności za kwestie bezpieczeństwa Europy (np. na Bałkanach), zwrócenie większej uwagi na sytuację bezpieczeństwa w Azji. „Miodowy miesiąc” nie dał też podstaw do odpowiedzi na pytanie, czy wyraźnie tradycyjna i konserwatywna, uformowana intelektualnie w okresie zimnej wojny ekipa będzie mieć wystarczającą wrażliwość oraz zdolność rozumienia nowych zjawisk i tendencji związanych z globalizacją, która była ukochanym „wynalazkiem” i żywiołem jej poprzedników<sup>16</sup>.

## ROK EUROPY?

Rok 2000 mógłby być nazwany, po dłuższej przerwie, nareszcie „rokiem Europy”. Jeśli tak się nie stało, to wina leży po stronie samych Europejczyków, którzy tonąc w drugorzędnych swarach, kłótniach o liczbę głosów w unijnych instytucjach, polemikach na temat przyszłości kontynentu, nie potrafili pokazać światu (a zwłaszcza obywatelom Europy), że w procesie jej integracji dokonały się ważne rzeczy. Do najważniejszych należy zaliczyć Traktat Nicejski, czyli reformę instytucji, oczyszczenie przedpola dla rozszerzenia Unii oraz materializację projektu Europejskiej Polityki Bezpieczeństwa i Obrony (ESDP).

<sup>16</sup> „Jeśli wygramy, będziemy realistami”, wywiad (K. Darewiczka) z C. Rice, „Rzeczpospolita” z 6 listopada 2001 r.; K. DeYoung, *National Security Council Trimmed and Refocused*, „International Herald Tribune” z 12 lutego 2001 r.; Niektórzy obserwatorzy uważają jednak, że nieuchronny jest konflikt pomiędzy skłoną do interweniowania opcją reprezentowaną przez Cheney’a, Rumsfelda i Wolfowitza a bardziej powściągliwym tandemem Powell – Rice. Rozstrzygające będzie wtedy stanowisko samego prezydenta, zob. S. Fidler, *Between two camps*, „Financial Times” z 14 lutego 2001 r.

Zapowiedziane na grudzień 2000 r. spotkanie Rady Europejskiej („szczyt”) w Nicei, które miało być finałem prac Konferencji Międzyrządowej w sprawie reformy Unii, najwyraźniej pobudziło wyobraźnię polityków, komentatorów i intelektualistów. Rok 2000 obfitował w idee i wizje dotyczące przyszłego, wręcz ostatecznego kształtu konstrukcji europejskiej (notabene, ów pojedynek na wizje nieodparcie przypominał słynny pojedynek na miny Miłosza i Kisiela, stoczony przy okazji ceremonii noblowskiej w Sztokholmie w 1980 r.). Sygnał do rozpoczęcia festiwalu wizji o Europie dali „zaprawieni w tych bojach” były kanclerz Niemiec H. Schmidt oraz były prezydent Francji V. Giscard d’Estaing. Wiosną 2000 r. ogłosili manifest, w którym domagali się spowolnienia procesu rozszerzania UE oraz **wzmocnienia integracji wokół „Euro-Europy”**, czyli **twardego rdzenia tworzonego przez sześć państw – inicjatorów Wspólnot**; to „szóstka” powinna zdecydować się na integrację według modelu federacyjnego i stanowić pierwsze stany przyszłych Stanów Zjednoczonych Europy. W podobnym duchu było utrzymane głośne majowe wystąpienie **Joschki Fischera, który postuluje budowę federacji europejskiej**, wyposażonej we własny rząd, prezydenta pochodzącego z bezpośrednich wyborów oraz wspólną konstytucję. W przemówieniu wygłoszonym miesiąc później w Reichstagu prezydent Francji **J. Chirac** wyraźnie zdystansował się wobec niemieckiej wizji Europy, stawiając na rozwój **„Europy międzyrządowej”** i opowiadając się za utrzymaniem suwerenności państw, choć także na rzecz utworzenia **„grupy pionierskiej”** – państw, które dyktowałyby tempo i kierunek integracji europejskiej. Widoczna była także koalicja głosów wspierająca Romano Prodiego, przewodniczącego Komisji Europejskiej, nawołująca do wzmocnienia roli Komisji w strukturze Unii i procesie jednoczenia Europy. Brytyjczycy nie zajmowali wprawdzie wyraźnego stanowiska, lecz komentarze i analizy dochodzące z Wysp jasno wskazywały na kontynuację przywiązania Londynu do luźniejszej integracji. Oni także podkreślali główny, stale narastający problem Unii – **deficyt demokracji w kierowaniu obecną Unią i w określaniu horyzontów jej ewolucji**. O przyszłości Unii rozmawiają politycy wizjonerzy, którzy owych wizji nie konsultują ze swymi społeczeństwami. Decyzji podejmowanych w hermetycznych hotelach i pensjonatach kolejnych Biarritz czy Nicei przywódcy Unii nie poprzedzają obywatelską debatą. Jak zauważa Ralf Dahrendorf, „kiedy jest mowa o Europie, nie do końca wiadomo, kto nią kieruje”, a obywatelom europejskim nie podoba się już „coraz ściślejsza unia”; Europa stała się nagle – co pokazują sondaże – niepopularna. Martin Taylor pisze o eurokratach i federalistach, iż są „tak demokratyczni jak rodzina Borgia”, i tęskni do „populistów, którzy nie dość, że nie zgadzają się z głoszonymi przez wąską grupkę wizjonerów ideami, to jeszcze są tak źle wychowani, że rozmawiają otwarcie z ludźmi o niższym od siebie wykształceniu”. Głównym wyzwaniem stojącym dzisiaj przed Unią jest, zdaniem wielu obserwatorów, odbudowa politycznej legitymizacji. Tygodnik „The Economist” opublikował nawet (28 października) projekt „konstytucji dla Europy”, w którym przewiduje się większą rolę parlamentów narodowych i „Europy obywatelskiej”

w decydowaniu o przyszłości kontynentu. W kwestii przyszłości Europy niezmiennie występował zatem dysonans, który wyrażał się dwóch krytycznych opiniach: „budując ‘Europę’, Europejczycy nie widzą lasu spoza drzew”, lub: „formułując dalekosiężne wizje i starając się określić *finalité*, nie oglądają się na swe społeczeństwa”<sup>17</sup>.

W kontekście powyższych problemów i opinii **przebieg i rezultaty spotkania Rady Europejskiej w Nicei (7–11 grudnia 2000 r.) należy uznać za zupełnie przyzwoite**, zwłaszcza z polskiego punktu widzenia. Przywódcy UE podjęli decyzje w sprawie reformy instytucji (Rady UE, Komisji, Parlamentu, ważnych komitetów – nowy podział głosów okazał się tutaj kwestią politycznie niezwykle trudną). Dzięki postanowieniom szczytu UE będzie gotowa do rozszerzenia od końca 2002 r. Przyjęto raport prezydencji (francuskiej) ws. ESDP. Potwierdzono proklamowaną wspólnie przez Radę, Parlament Europejski i Komisję Kartę Praw Podstawowych. Podjęto także wiele innych decyzji w sprawach socjalnych, edukacyjnych, kulturalnych, bezpieczeństwa wewnętrznego. Może nieco mniej miejsca poświęcono tym razem stosunkom zewnętrznym Unii. Warto tutaj podkreślić szybkie zaangażowanie UE we wspieranie procesu demokratyzacji w Jugosławii po upadku Miloševicia. Zarazem nie powinna ująć naszej uwagi surowa krytyka Javiera Solany (zawarta w specjalnym, poufnym raporcie ze stycznia 2001 r.) pod adresem unijnych wspólnych strategii (w ramach WPZiB), jako zbyt szeroko sformułowanych i nieskutecznych (wobec Rosji, Ukrainy, regionu śródziemnomorskiego). W Nicei postanowiono także o kontynuacji debaty i dążeniu do rozstrzygnięć w odniesieniu do różnych ważnych kwestii, co do których nie udało się powziąć decyzji na spotkaniu grudniowym (tzw. proces postnicejski), w tym zasady subsydiarności, uproszczenia traktatów, statusu Karty Praw.

Krzywdzące były opinie, iż Traktat Nicejski to jedynie „Face-Saving Treaty”. Na tym etapie nie można było osiągnąć więcej, rozstrzygnięcia nicejskie nie przesądzają dalszego kierunku rozwoju UE, a **narzekania zwolenników szybkiego określenia *finalité*** należy uznać za nieuprawnioną uzurpację do dekretowania utopii. Postanowienia szczytu w sprawie **wzmocnionej współpracy** nie dają podstaw do dalej idącej krytyki czy obaw. Jest dość oczywiste, że w gronie 20 czy więcej państw nie wszystkie z nich będą mogły czy chciały włączyć się w projekty głębszej integracji w określonych dziedzinach. Ryzyko pojawienia się w tym kontekście dwóch kategorii państw naturalnie istnieje, choć jest niewielkie, i trzeba się z tym pogodzić. Wzmocniona współpraca nie będzie wszakże odbywać się ze szkodą dla państw nie biorących w niej udziału, a ponadto, nie ulega wątpliwości, iż lepiej być w niektórych dziedzinach „państwem drugiej kategorii” (jak alarmują niektórzy) w ramach Unii i walczyć o „pierwszą kategorię”, niż pozostawać poza UE.

<sup>17</sup> R. Kuźniar, *Nadmiar wizji, brak konkretów*, „Tygodnik Powszechny” z 5 listopada 2000 r.; R. Dahrendorf, *Trudne jednoczenie Europy*, „Forum” z 3 grudnia 2000 r.; M. Taylor, *As democratic as the Borgias*, „Financial Times” z 19 października 2000 r.; L. Siedentop, *A crisis of legitimacy*, „Financial Times” z 24 października 2000 r.; L. Barber, *Hearts and minds*, „Financial Times” z 22 grudnia 2000 r.



Niewątpliwym sukcesem Unii w roku 2000 był **rozwój Europejskiej Polityki Bezpieczeństwa i Obrony (ESDP)**, budowanej przecież w niemalej mierze w opozycji wobec USA i w taki sposób, który pozwoli uniknąć amerykańskiego nadzoru nad ESDP. Powołano struktury tej polityki i, co najważniejsze, doszło do pierwszego przybliżenia do potencjału militarnego ESDP. Listopadowa konferencja ws. zdolności wojskowych ESDP zakończyła się sukcesem. Państwa członkowskie UE i aspirujące zadeklarowały przekazanie do dyspozycji ESDP w sumie ok. 100 tys. żołnierzy, ok. 400 samolotów oraz ok. 100 okrętów. Oferta wprowadzie na razie pozostaje cokolwiek papierowa, konieczne są bowiem dalsze wysiłki, aby z zadeklarowanych wkładów uczynić „armię”, lecz początek okazała się lepszy, niż można było oczekiwać. Nie chodzi tu zresztą o regularną armię, lecz o siły szybkiego reagowania w sytuacjach kryzysowych; nie chodzi także o obronę, lecz o przywracanie i stabilizowanie bezpieczeństwa w otoczeniu obszaru Unii. Na początku 2001 r. trudno ocenić, czy nieufność i sceptycyzm wobec projektu ESDP był uzasadniony. Nadal nie wiemy, jak wielkie środki finansowe państwa UE zechcą przeznaczyć na wspólne manewry, szkolenie, wyposażenie, sprzęt logistyczny itd., bez czego ESDP nie stanie się realną siłą (nie słyhać o dodatkowych środkach na ten cel). Niewiadomą pozostanie aż do pierwszej sytuacji kryzysowej umiejętność osiągania politycznej woli i determinacji niezbędnej do skorzystania z posiadanego potencjału. Dotychczasowy, przebiegający zgodnie z założeniami rozwój ESDP **nie pozwala niczego powiedzieć o przyszłej wiarygodności tych sił**. Stanowi to – biorąc pod uwagę dotychczasowe doświadczenie – najslabszy punkt tego przedsięwzięcia. Od tego będzie zależeć, czy ESDP nie okaże się – jak złośliwie żartował „The Times” – *Rapid Reaction Farce*. Pewnym przetarciem dla sił reagowania kryzysowego UE, które powinny być gotowe do użycia od 2003 r., było półroczne dowodzenie przez Eurokorpus siłami pokojowymi w Kosowie.

Jednych martwi, a innych cieszy fakt będący, jak się zdaje, podstawową charakterystyką polityczną ESDP, a mianowicie to, że dzięki temu projektowi Europa osiąga jedność w jednej sprawie – niezależności od USA. Warto przypomnieć, iż jeszcze wiosną 2000 r. Stany Zjednoczone wierzyły (wypowiedzi M. Albright) w rozwój ESDP w takiej postaci, jak to zostało zapisane dla ESDI (tożsamości – nie „polityki”) w ramach NATO. Niektórzy naiwnie – jak gen. W. Clark – zupełnie nie rozumieli istoty problemu. Clark uważa, że to „Ameryka pchnęła UE do zbudowania własnych, autonomicznych sił wojskowych. Dlatego, iż stworzyła wrażenie, że w przyszłych sytuacjach kryzysowych w Europie może nie przyjść z pomocą”. Tymczasem problem znajdował się zupełnie gdzie indziej. Owszem, to Ameryka pchnęła Europę, lecz stało się to w Kosowie, gdzie Amerykanie całkowicie przejęli dowodzenie operacją NATO w każdym jej strategicznym i operacyjnym aspekcie. Upokorzeniem dla Europy było przede wszystkim zdominowanie dowodzenia operacją przez USA, w daleko mniejszym stopniu zaś przewaga USA nad europejskimi sojusznikami pod względem wojskowym. Zresztą, o czym pisze się coraz częściej, nadmiar przewagi i technologii USA raczej zaszkodził, niż pomógł operacji *Allied Force*. Stąd też wniosek

wyciągnięty przez UE polega nie na tym, aby „gonić Amerykanów” pod względem czysto wojskowym (finanse, technologia, logistyka), lecz aby się uniezależnić w pewnym stopniu od USA w sferze bezpieczeństwa, choć już nie w sferze obrony, gdzie prymat zostaje przy NATO. Przypomina się tu stanowisko de Gaulle’a, który nie chciał, aby Francja została zmuszona do prowadzenia „nie swoich wojen” (czytaj: wojen w interesach USA), w sposób, który narzuci „hegemon NATO”. Wielu analityków i polityków, także francuskich, wierzy, że utworzenie ESDP nie tyle doprowadzi do rozłamu w NATO, ile stworzy szansę na prawdziwe partnerstwo między Ameryką a jej europejskimi sojusznikami w jego ramach. Jednocześnie w Europie narasta świadomość, że jest ona nie mniej potrzebna Ameryce niż Ameryka Europie. Dał temu wyraz na łamach publikowanego przez Instytut Studiów Bezpieczeństwa UZE miesięcznego „Newsletter” (październik 2000 r.) Julian Lindley-French, który udzielił przenikliwej odpowiedzi na zadane przez siebie pytanie: **„Dlaczego Ameryka potrzebuje Europy?”**. Warto przytoczyć szerzej ten punkt widzenia. Jego zdaniem Europa odgrywa wobec Ameryki potrójną, bardzo ważną rolę. Po pierwsze, Europejczycy temperują supermocarstwowe ambicje Ameryki (*Europe as a reality check*). Potencjał Ameryki oraz wewnętrzne grupy nacisku utrudniają strategiczny obiektywizm, natomiast promują pewien rodzaj **obsesji polegającej na prowadzeniu przez Amerykę wyścigu zbrojeń z samą sobą** (*auto-rearming, an arms race with itself*). Po drugie, Europa proponuje nowe podejście do bezpieczeństwa w nowej sytuacji międzynarodowej. Jego sednem jest założenie, iż siła to nie wszystko, równie ważny jest legitymizm w skutecznym rozwiązywaniu różnych kryzysów i konfliktów; ważne są pozamilitarne aspekty bezpieczeństwa. Po trzecie, wbrew powszechnej acz błędnej opinii, Europa jest „producentem” bezpieczeństwa. Nie jest tak, jak twierdzą Amerykanie – pisze Lindley-French – że jedynie USA są w stanie podejmować działanie w tej sferze. Owszem, USA są niezrównaną potęgą w powietrzu, lecz we wszystkich operacjach kryzysowych i pokojowych na lądzie prym wiodą Europejczycy. Zadaniem Europy, konkluduje Lindley-French, jest równoważyć potęgę Ameryki we współczesnym świecie oraz przez przyjazną stanowczość mówić jej, kiedy jest w błędzie. Nadmiar potęgi Ameryki może być przyczyną jej porażek (*American power will be self-defeating...*)<sup>18</sup>.

Ostatni rok był w Unii Europejskiej znaczący z jeszcze jednego przynajmniej powodu. **Francja zrezygnowała z przywódczej roli w tym ugrupowaniu, a jej miejsce zajęły Niemcy.** Zmiana nie ogranicza się tutaj tylko do zastąpienia lidera, gdyż Berlin reprezentuje znacząco odmienną od Paryża wizję przyszłej Europy. Niemcy przywiązują mniejszą wagę do suwerenności państw członkow-

<sup>18</sup> W. Pfaff, *Europe Is Unified on One Thing: Freedom From U.S. Control*, „International Herald Tribune” z 1 czerwca 2000 r.; W.K. Clark, *U.S. Actions Push the EU to Its Own Military Force*, „International Herald Tribune” z 9–10 grudnia 2000 r.; J. Chirac, *May the European Union and America Go Forward Together*, „International Herald Tribune” z 19 grudnia 2000 r.; J. Ralston, *For the EU and NATO, a Welcome New Military Partnership*, „International Herald Tribune” z 24 listopada 2000 r.

skich Unii w relacji do jej organów, wypowiadają się na rzecz federacyjnego modelu jej rozwoju, a także raczej nie kwestionują (przynajmniej oficjalnie) przywódczej roli USA w stosunkach transatlantyckich. Trudno natomiast powiedzieć, w jakim stopniu partnerzy Niemiec zechcą zaakceptować ich przywódczą rolę w unijnej Europie, aczkolwiek ich postawa w UE jest odpowiedzialna i – co ma znaczenie dla takich krajów jak Polska – „włączająca” (*inclusive*), nie zamykająca bram Unii przed innymi.

Z drugiej strony zadziwiający jest sposób, w jaki francuska dyplomacja oddała pole Niemcom; charakteryzowały go niezręczności, źle skrywany egoizm oraz zwyczajna małoduszność w końcówce jej przewodnictwa w UE (druga połowa 2000 r). Wśród przyczyn erozji dotychczasowej pozycji Francji wskazuje się na nieumiejętność adaptacji do nowej sytuacji w Europie, archaiczne przywiązanie do wielkości à la de Gaulle, posługiwanie się w miejsce dialogu pouczeniem oraz zwyczajne, co otwarcie przyznaje sam minister spraw zagranicznych H. Vedrine, doktrynerstwo. On też jest autorem wyznania, iż „gdyby rządzeniem opatrności to Francji przypadła rola Ameryki, Francuzi byłiby o wiele bardziej nie do wytrzymania niż Amerykanie”<sup>19</sup>.

Rok 2000 był także „rokiem Europy” ze względu na podjęcie przez UE na spotkaniu w Nicei **decyzji, które otwierają Unię na Europę**, na tę część Europy, która po drugiej wojnie światowej miała „mniej szczęścia” i została odcięta od udziału w procesach integracyjnych i rozwoju cywilizacyjnego będącego następstwem integracji. Owego „otwarcia na Europę” jednakże dokonano we właściwy Unii sposób; sposób, którego należało zresztą oczekiwać od kilku lat. Po Nicei Unia może w sposób w pełni uprawniony zadeklarować: „My zrobiliśmy swoje, przeprowadziliśmy reformy, po ich ratyfikacji, od końca 2002 r., będziemy gotowi was przyjąć. Teraz wasz ruch. Musicie tylko spełnić kryteria członkostwa, a my was bezzwłocznie przyjmujemy”. Problemem kandydatów jest spełnienie kryteriów członkostwa, problemem Unii jest natomiast wybór tych, którzy powinni zostać przyjęci w pierwszej turze. Trudno oczekiwać, aby zwyciężyła opcja „big bangu”, czyli przyjęcia maksymalnej liczby kandydatów (wszystkich poza Rumunią i Bułgarią); opowiada się za nią m.in. znany polityk zachodnioniemiecki Friedbert PflEger. Należy podkreślić, iż kwestia rozszerzenia, która nigdy nie cieszyła się nadmierną sympatią w państwach Unii, stała się jeszcze mniej popularna w ostatnim czasie. Zrozumieniu konieczności rozszerzenia wśród większości unijnych polityków nie towarzyszy podobna świadomość wśród społeczeństw, dostrzegających jedynie koszty i zagrożenia związane z tą operacją (rolnictwo, migracje zarobkowe, pomoc finansowa itp.). Nie należy w związku z tym oczekiwać, aby poza osiągnięciem gotowości do rozszerzenia Unia i jej państwa członkowskie podejmowały nadmierne wysiłki na rzecz szybkiego ziszczenia się deklaracji o gotowości do przyjęcia krajów naszego regionu. Realistycznie rzecz biorąc,

<sup>19</sup> J. Vinocur, *Will Gaullist Grandeur Obstruct a New Europe?*, „International Herald Tribune” z 28 grudnia 2000 r.; H. Vedrine, *Il y a encore partout dans le monde un désir de France* (wywiad), „Le Figaro” z 15 lipca 2000 r.

stanie się cud, jeśli dojdzie do rozszerzenia (z Polską) w roku 2004, choć nie jest to niemożliwe. Rozszerzenie w 2005 r. będzie bardzo dobrym wynikiem. Nie można także wykluczyć rozwiązań specjalnych, które umożliwiłyby nam uczestnictwo w niektórych organach (np. w Parlamencie) czy działaniach Unii przed osiągnięciem pełnego członkostwa. Korzystne dla Polski jest natomiast ugruntowanie się w kręgach unijnych przeświadczenia, iż niemożliwa jest pierwsza tura rozszerzenia bez naszego kraju (nawet gdyby oznaczało to dla państw lepiej przygotowanych konieczność poczekania rok-dwa na Polskę). Obecnie naszemu rychłemu członkostwu w Unii możemy przeszkodzić wyłącznie my sami<sup>20</sup>.

### WSCHÓD – KONIEC SMUTY, POWRÓT *REALPOLITIK*

Rosja niezmiennie zajmowała uwagę analityków, komentatorów i polityków Zachodu, którego częścią jest – o czym nie zawsze pamiętamy – Polska. Co zrozumiałe, największe zainteresowanie budziły poczynania nowego władcy Rosji, prezydenta Putina, który w ostatnim roku pokazał wiele twarzy oraz niemałą skuteczność w polityce wewnętrznej i zagranicznej. Jednocześnie umiejętnie starał się nie odsłaniać, aby pozostając nierozpoznany, utrudniać interpretację jego poczynañ i zachować pole manewru na wszystkich kierunkach polityki Rosji.

Pierwszym zadaniem nowego prezydenta stało się **przywrócenie Rosji państwa**, które zaczęło zanikać w końcowym okresie bezładnych rządów jego poprzednika – Jelcyna. Powrót państwa w rosyjskich warunkach mógł się dokonać w jeden sposób, to znaczy przy użyciu autorytarnych metod i przytłumieniu załączków systemu demokratycznego. Załączków –Rosja Jelcyna nie zdążyła bowiem stać się państwem demokratycznym. Uzasadnionym zabiegom na rzecz poprawy sprawności państwa bądź jego przywrócenia w strefy, z których się ono wycofało lub zostało wypchnięte (zarządzanie gospodarką, rozwiązywanie problemów społecznych), towarzyszyły jednak niepokojące sygnały. Decyzja o oparciu hymnu rosyjskiego na melodii hymnu sowieckiego nie jest mało znaczącym symbolem, lecz potwierdzeniem przywiązania do złowrogiej, imperialnej i totalitarnej przeszłości Rosji. Fakt ten tym bardziej niepokoi, iż ta decyzja była jedynym symbolicznym przejawem koncepcji państwa nowego prezydenta. Powrót jawnego autorytaryzmu w Rosji wyrażał się zarówno w oparciu się na instytucjach i ludziach o KGB-owskim rodowodzie, w centralizacji systemu rządzenia Federacją Rosyjską, jak i w ograniczeniu wolności słowa (media), w kontynuacji „brudnej wojny” przeciwko Czeczenii oraz w próbach przywrócenia kontroli nad gospodarką rosyjską. Stosunkowo najmniejsze sukcesy odniesiono w sferze gospodarczej. Wprawdzie poprawiła się sytuacja finansowa (budżet) Rosji, lecz – zdaniem ekspertów – jest to przede wszystkim zasługa

<sup>20</sup> F. Pflüger, *EU Must Set a Date for the Next Round of Enlargement*, „International Herald Tribune” z 30 września–1 października 2000 r.; D. MacShane, *It's Time for Europe to Stop Holding Poland at Arm's Length*, „International Herald Tribune” z 25 września 2000 r.; S. Wagstyl, *Waiting for the EU to decide*, „Financial Times” z 24 października 2000 r.

zwiększonych wpływów za eksport ropy i gazu. Próba przywrócenia „suwerenności” państwa w sferze gospodarczej wiązała się nieuchronnie z wypowiedzeniem wojny oligarchom, którzy wcześniej – korzystając z hojności Jelcyna oraz zamętu właściwego jego rządowi, przejęli (mówiąc eufemistycznie) najbardziej atrakcyjne finansowo działy rosyjskiej gospodarki. Jak pisał jeden z amerykańskich komentatorów, „Oligarchowie przejęli kontrolę nad kluczowymi sektorami gospodarki poprzez manipulowaną wyprzedaż majątku narodowego, wspieraną przez ministerstwo skarbu USA oraz MFW, które opierały się na niesprawdzonym, ideologicznym i zgubnym przeświadczeniu, iż szokowa prywatyzacja państwowego majątku spowoduje automatycznie narodziny infrastruktury nowoczesnego kapitalizmu. Taka wyprzedaż doprowadziła w istocie jedynie do ograbienia Rosji z jej majątku oraz transferu zysków za granicę, głównie – jak się zdaje – za pośrednictwem amerykańskich banków”. Administracja rządowa nie mogła być skutecznym narzędziem przywracania niezbędnej i cywilizowanej kontroli nad gospodarką, znajduje się ona bowiem w znacznej mierze w rękach nieudolnych i skorumpowanych urzędników. Putinowi udało się wprawdzie doprowadzić do upadku czołowych postaci z kręgu „złodziejskich baronów” – Gusinskiego, Bierzowskiego – lecz nie oznacza to jeszcze uzdrowienia tego sektora. Przykładem jest obecny także na polskim rynku Gazprom. „Choć brzmi to niewiarygodnie – pisze Anders Aslund – największe przedsiębiorstwo rosyjskie, dysponujące jedną trzecią światowych rezerw gazu, jest deficytowe z powodu złego zarządzania i kradzieży. Każdego roku miliardy dolarów są wyprowadzane przez firmy rzekomo kontrolowane przez menedżerów Gazpromu”. Notabene, głównym partnerem Gazpromu w Polsce jest firma Bartimpex, która posunęła się do wytoczenia w lutym 2001 r. sprawy w sądzie polskiemu rządowi za utrudnianie jej robienia „dobrych interesów”. Aslund dodaje: „Następną ekonomiczną czarną dziurą Rosji – obok Gazpromu – jest system bankowy. Nikt przy zdrowych zmysłach nie trzyma pieniędzy w rosyjskim banku” (Aslund znany jest z niezmiennie życzliwego stosunku do Rosji i optymistycznych od początku lat 90. analiz na temat reform w tym kraju)<sup>21</sup>.

W polityce zagranicznej przyjsięcie Putina oznaczało **powrót do zimnej i po rosyjsku przebiegłej (choć przeciw czytelniej) Realpolitik**. Pobrzmiwały w niej zarówno stare, zimnowojenne tony, jak i kalkulowana otwartość na różne kierunki i konstruktywne podejście wyrażające gotowość do rozwijania normalnych stosunków. Pierwszy rok Putina zaznaczył się dziwną kombinacją żywych stosunków z niektórymi państwami zachodnimi (zwłaszcza z Wielką Brytanią i Niemcami) oraz rozwojem kontaktów z krajami politycznie raczej egzotycznymi, z Koreą Północną i Kubą włącznie. Jeśli dodać do tego wizytę Putina w Pekinie, w toku której oba państwa zmanifestowały swój sprzeciw wobec „amerykańskiej hegemonii”, gra wydaje się dość przejrzysta. Jednocześnie Putin starał się pogodzić,

<sup>21</sup> *Democracy in Russia*, „The Economist” z 25 listopada 2000 r.; A. Aslund, *Trzy oblicza Putina*, „Rzeczpospolita” z 27 grudnia 2000 r.; W. Pfaff, *Putin’s Good Year Is a Mixed Blessing for Russia*, „International Herald Tribune” z 4 stycznia 2001 r.

a zarazem oddzielić w zewnętrznym odbiorze dwa oblicza polityki – bezwzględnej i autorytarnej wewnątrz Rosji oraz uprzejmej i otwartej, a jeśli trzeba nawet ciepłej i serdecznej, wobec świata zewnętrznego, zwłaszcza wobec Europy Zachodniej. Sam Zachód nie znajdował właściwej odpowiedzi na tę zręczną grę Putina, choć pomysłów pojawiło się wiele; ich wspólnym mianownikiem była stale powtarzana mantra o konieczności utrzymania konstruktywnych stosunków z Moskwą oraz zaangażowania Zachodu w rosyjskie przemiany. Nie brakowało jednak bardzo krytycznych ocen dotychczasowej, łącznie z krótkim jeszcze okresem Putina, polityki Zachodu wobec Rosji. Do głównych krytyków należeli tak uznawani eksperci jak Z. Brzeziński i H. Kissinger. Ten pierwszy napisał, iż „Czyniąc z ‘dobrych stosunków’ z Rosją cel sam w sobie, administracja Clintona nie zdołała zachęcić Rosji do pozytywnych zmian i zniechęcić do negatywnych zachowań. (...) Nie wątpliwości, że obojętność tej administracji wobec wydarzeń w Czeczenii przyczyniła się do zwiększenia skali ludobójstwa popełnionego na Czeczenach. (...) Zdolność do różnicowania – dodawał Brzeziński – jest niezbędnym warunkiem każdej skutecznej polityki”. Jego zdaniem, poparcie Zachodu dla Putina powinno być funkcją jego zaangażowania w proces demokratyzacji Rosji, cywilizowania jej gospodarki, porzucenia imperialnych ciągów i stosowania siły wobec narodów b. ZSRR, respektowania prawa wyboru sąsiadów Rosji do włączania się w zachodni system integracji gospodarczej i bezpieczeństwa. W podobnym tonie wypowiadał się H. Kissinger, który stał na stanowisku z jednej strony respektowania rosyjskich interesów bezpieczeństwa, z drugiej jednak ograniczania jej dążeń do dominacji, wyrażających się w zastraszaniu i bezlitosnym podporządkowywaniu sobie słabszych sąsiadów. Nie wydaje się jednak, aby istotnie Zachód chciał się kierować wskazówkami formułowanymi przez obie te wybitne osobistości. Już Kissinger zauważał, że „**Zachodni przywódcy porzucili swe moralne zasady, które ogłosili rok wcześniej**. Wtedy tłumaczyli swą politykę wobec **Kosowa** nową moralną postawą, która nie będzie już obojętna wobec represji przedstawianych jako ‘sprawa wewnętrzna’. Ale gdy sześć miesięcy później Czeczenia stała się niemal wierną repliką Kosowa, i to z większymi ofiarami wśród ludności cywilnej, zachodni przywódcy zmienili ton. W przypadku Kosowa mówili o ‘bojownikach o wolność’, w Czeczenii natomiast o ‘rebeliantach’”. Bezlitosnej krytyce poddawano T. Blaira, który był głównym obok Clintona ideologiem wojny o Kosowo („o prawa człowieka”), a następnie znalazł sobie przyjaciela w człowieku KGB, który dzięki urzędowej Czeczenom rzezi zdobył popularność w Rosji<sup>22</sup>. O realizmie Moskwy świadczy natomiast nawet zapowiedź elastyczności wobec amerykańskiego planu NMD, w stosunku do którego Rosjanie mają przecież wszelkie powody do sprzeciwu.

Nowa taktyka Moskwy w stosunku do krajów „bliskiej zagranicy” (podporządkowywanie sobie republik b. ZSRR nie poprzez WNP, lecz drogą nacisków

<sup>22</sup> Z. Brzeziński, *Integrowanie Rosji*, „Rzeczpospolita” z 25 kwietnia 2000 r.; Z. Brzeziński, *Kilka zachodnich lekcji dla Rosji*, „Gazeta Wyborcza” z 5 stycznia 2001 r.; H. Kissinger, *Między moralizmem a oportunistycznym*, 27–28 maja 2000 r.; W. Safire, *Blair’s New Special Relationship*, „International Herald Tribune” z 18 kwietnia 2000 r.; M. McFaul, *Putin & Co. Need to Be Told That the Cold War Game is Over*, „International Herald Tribune” z 24 stycznia 2001 r.

i „porozumień” dwustronnych) została wprawdzie dostrzeżona na Zachodzie, lecz – jak się zdaje – Zachód jest skłonny tolerować rosyjskie porządki w tej przestrzeni geopolitycznej. Sukcesy Moskwy na tym froncie ułatwia fakt, że bardzo płytkie, nierzadko pozorowane działania reformatorskie w krajach WNP nie przyniosły rezultatów oraz prowadząc do kryzysów i destabilizacji wewnętrznej, „zmusiły” nowy-stary establishment do szukania poparcia Moskwy w zamian za głębsze od niej uzależnienie. **Prawdziwym dramatem jest rozwój sytuacji na Ukrainie, która także została wciągnięta w satelicką orbitę wpływów Moskwy w konsekwencji fiaska reform wewnętrznych.** Kryzys władzy na Ukrainie polega na coraz bardziej autorytarnych metodach rządzenia prezydenta Kuczmy wspólnie z wyłonioną grupą ukraińskich oligarchów przedkładających interesy grupowe nad państwowe. Pomiedzy Kucznią a oligarchami istnieje jedynie skorumpowany aparat urzędniczy; im wszystkim nie jest potrzebny demokratyczny system polityczny, opozycja, wolne media czy społeczeństwo obywatelskie. W ten sposób pogłębia się różnica oddzielająca Ukrainę nie tylko od Zachodu, ale także od Europy Środkowej. Ukraina, rezygnując z aspiracji bycia państwem środkowoeuropejskim, staje się częścią postsowieckiego Wschodu. W tej sytuacji skuteczne przestają być rozliczne programy pomocowe, strategiczne partnerstwa czy poparcie polityczne dla suwerennej Ukrainy. Zachód akceptuje postępujące uzależnienie Ukrainy od Rosji. Polska w pojedynkę nie jest w stanie zrobić dla niej więcej, niż chcą to uczynić dla swego kraju sami Ukraińcy, którym wyraźnie jest bliżej do trzeciego niż do pierwszego Rzymu. Wszystko wskazuje na to, iż Ukraińcom nie udało się (niezbyt się starali) obalić paradygmatu Huntingtona, w tej jego części, która odnosiła się do przyszłości postkomunistycznej Europy Wschodniej<sup>23</sup>.

Realizm i dążenie do normalności, jak się zdawało, brały górę nad podejściem Rosji do Europy Środkowej, zwłaszcza do Polski, od połowy 2000 roku. Po cząwszy od wizyty prezydenta Kwaśniewskiego w Moskwie, latem 2000 r., nastąpiło wyraźne ożywienie i ocieplenie, choć jeszcze niezbyt głębokie, stosunków dwustronnych, czego przejawem były dwa spotkania min. Bartoszewskiego z min. Iwanowem, w listopadzie 2000 r. w Warszawie i w lutym 2001 w Moskwie. Od dawna było wiadomo, iż jeśli Moskwa zechce poprawy stosunków z Warszawą, to tak się stanie, gdyż jako partner silniejszy, to ona określa stan i dynamikę stosunków z takim państwem jak Polska. Poprawa nastąpiła wtedy, gdy Polska uniezależniła się od tych stosunków, gdy humory Moskwy przestały mieć znaczenie dla sytuacji Warszawy. W podejściu Polski do Rosji było i jest ważne porzucenie iluzji o tym, że Polska może mieć w stosunku do Rosji jakąś szczególną misję do wypełnienia (pomostu, łącznika, europeizacji). Polska musi jedynie bronić swych interesów, które polegają także na normalnych kontaktach gospodarczych, międzyludzkich, kulturalnych. Ich rozwój leży przecież również

<sup>23</sup> Ch. Clover, *Good neighbour or great power?*, „Financial Times” z 23 stycznia 2001 r.; D. Frantz, *Dashed Post-Soviet Hopes*, „International Herald Tribune” z 2 listopada 2000 r.; B. Sienkiewicz, *Zwrot ku Moskwie?*, „Tygodnik Powszechny” z 25 lutego 2001 r.

w interesie Rosjan. Stosunki ponadpoprawne zależą już od Rosji, my sami jej do nich nie zmusimy i nie ma uzasadnienia dla polskiej nadaktywności wobec Rosji. Nie byłoby także rozsądne warunkować rozwój tych stosunków od jakiejś ekspiacji Moskwy za przeszłość. Rosja sama musi do tego wewnątrznie dojrzeć. Co prawda, dopóki tak się nie stanie, dopóty sąsiedzi Rosji będą mieli podstawy do ostrożności i nieufności. Zrozumienie tej prawdy także leży w interesie Rosjan.

Byłoby niedobrze, gdyby tę pozytywną tendencję zakłócała **kwestia energetyczna**. Manewry Moskwy i Gazpromu związane z przebiegiem nowych rurociągów dla dostaw ropy i gazu do Europy Zachodniej i Polski, próba przejęcia kontroli nad systemem energetycznym Ukrainy, zagrażająca suwerenności RP próba odsunięcia Polski od kontroli, obsługi i zysku z położonego bez wymaganej zgody rządu kabla światłowodowego Rosja–Europa Zachodnia, przenoszenie braku przejrzystości w operacjach finansowych oraz w styku kapitał prywatny–służba publiczna i skarb państwa na polski grunt (niejasne podróże szefa Gazpromu do Polski, jego selektywne politycznie spotkania; notabene, kilka lat temu R. Wiachiriew z „bol-szewicką szczerością” ostrzegał, iż jeśli trzeba, oni – Gazprom, Rosjanie – „potrafią dać po zębach” budzą uzasadnione obawy i niepokój nie tylko w Polsce. Jeśli dążący do utrzymania monopolu na dostawy gazu do Polski szefowie spółek, w których rosyjski, państwowy Gazprom ma znaczące udziały finansowe, domagają się zmiany demokratycznie wybranego polskiego rządu, to jest to tylko **potwierdzeniem takich obaw; obaw o bezpieczeństwo energetyczne państwa, obaw o barbaryzację życia gospodarczego w Polsce**<sup>24</sup>.

### CZARNE CHMURY NAD OBWE

Rok 2000 stanowił szczególną okazję do analizy i dokonywania podsumowań dotyczących Organizacji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie, w związku z 25. rocznicą podpisania Aktu Końcowego KBWE 1 sierpnia 1975 r. Chociaż rozwój KBWE/OBWE uchodzi za wyjątkowy przykład procesu przejścia z bardzo luźnej platformy dialogu między blokami w okresie zimnej wojny do instytucji wyposażonej w solidną strukturę oraz szeroki zakres instrumentów, to doświadczenie ostatnich lat dowodzi niepewności perspektywy OBWE. Co prawda wkład organizacji w umacnianie bezpieczeństwa w Europie jest niezaprzeczalny, zwłaszcza wysiłki na rzecz stabilizowania porządku wojskowego, zapobieganie konfliktom, działalność w zakresie *post-conflict rehabilitation* oraz upowszechnianie demokracji<sup>25</sup>, jednak zmiana sytuacji geostrategicznej w Europie (rozszerzenie NATO, postęp procesów integracyjnych) oraz brak spójnej wizji roli organizacji

<sup>24</sup> S. Popowski, *Czekając na otwarcie*, „Rzeczpospolita” z 21 listopada 2000 r.; K. Groblewski, *Zagrożone zyski i bezpieczeństwo*, „Rzeczpospolita” z 24 listopada 2000 (tam także list min. łączności T. Szyszki zawierający opis technicznych, finansowych i politycznych aspektów linii światłowodowej); D. Hoffman, *Gazprom Raises Investors' Suspicions Over Deals*, „International Herald Tribune” z 28 grudnia 2000 r.

<sup>25</sup> R. Zięba, *Instytucjonalizacja bezpieczeństwa europejskiego*, Warszawa 1999, s. 277–327; *OSCE Handbook*, June 2000.



wśród państw uczestniczących sprawiają, iż działalność OBWE – jak się wydaje – traci na znaczeniu.

Podpisanie na szczycie w Stambule w listopadzie 1999 r. negocjowanej przez lata Karty Bezpieczeństwa Europejskiego, w której zgodnie z oczekiwaniami Polski przesądzono o komplementarnym charakterze OBWE wobec innych organizacji, nie wywarło pozytywnego wpływu na funkcjonowanie OBWE. W zamyśle sygnatariuszy Karta miała zwiększyć możliwości OBWE w zakresie zapobiegania, ograniczania i wygaszania konfliktów wewnętrznych. Tymczasem widoczne podczas szczytu różnice zdań między Rosją a państwami zachodnimi, dotyczące konfliktów na obszarze WNP, nie zostały złagodzone, co w istocie wpłynęło paraliżująco na aktywność organizacji w tym regionie. Rosja nie wywiązała się z podjętych wówczas zobowiązań, dotyczących uczestnictwa OBWE w procesie politycznego uregulowania konfliktu czeczeńskiego. Prowadząc wojnę w republice, w dalszym ciągu blokowała powrót Grupy Wspomagania OBWE do Czeczenii, która w 1998 r. została ewakuowana do Moskwy i stąd też starała się wykonywać swój mandat. Głównym problemem w negocjacjach z władzami rosyjskimi była kwestia określenia statusu misji oraz zagwarantowania przez władze Federacji bezpieczeństwa jej członkom<sup>26</sup>.

Kolejne ustępstwa Rosji były związane z podpisanym w Stambule zmodyfikowanym traktatem CFE. Rosja zobowiązała się wycofać wojska z Mołdowy do końca roku 2002, zredukować garnizony w Gruzji do końca 2000 r. oraz zamknąć dwie z czterech posiadanych w tym kraju baz wojskowych przed upływem 1 lipca 2001 r. W 2000 r. Rosja nie poczyniła znaczącego postępu w tym zakresie, co więcej, nadal narusza postanowienia CFE, przekraczając pułap sprzętu ciężkiego na flance kaukaskiej. Taka postawa Rosji zablokowała implementację traktatu CFE, ponieważ państwa zachodnie uzależniły jego ratyfikację od wypełnienia przez Rosję swoich zobowiązań<sup>27</sup>.

Pod znakiem werbalnej konfrontacji pomiędzy Rosją a Zachodem upłynęła także VIII sesja Rady Ministerialnej w Wiedniu w dniach 27–28 listopada 2000 r. Kością niezgody okazała się po raz kolejny kwestia uregulowania konfliktów w Czeczenii, Gruzji i Mołdowie. Z założenia spotkania Rady Ministerialnej, organizowane w latach, w których nie odbywają się spotkania na szczycie, miały służyć dokonaniu przeglądu i oceny działalności organizacji, ustanowieniu nowych celów politycznych na przyszłość i usprawnieniu operacyjnych możliwości OBWE. Tymczasem po raz pierwszy w historii OBWE nie zdołano osiągnąć konsensusu w sprawie deklaracji końcowej<sup>28</sup>. Brak kompromisu ujawnił z całą ostrością problemy regionu. Przewodnicząca OBWE Benita Ferrero-Waldner w swoim wystąpieniu w ostatnim dniu spotkania ogłosiła m.in. odnotowany podczas rozmów brak postępu w zakresie uregulowania konfliktów w Górnym Karabachu i Naddniestrzu, potrzebę rozwiązania konfliktu w Czeczenii metodami

<sup>26</sup> *Annual Report 2000 on OSCE Activities*, 1 November 1999 – 31 October 2000, s. 34–36.

<sup>27</sup> Do 30 stycznia 2001 traktat CFE został ratyfikowany jedynie przez Białoruś i Ukrainę.

<sup>28</sup> Przyjęto jedynie Deklarację wiedeńską o roli OBWE w Europie Południowo-Wschodniej.

politycznymi z udziałem OBWE oraz zwróciła uwagę na trudności, jakie napotykają organizacje humanitarne, próbujące nieść pomoc czeczeńskiej ludności cywilnej<sup>29</sup>. Delegacja rosyjska wskazała na niewiążący charakter wysuniętych wniosków<sup>30</sup>. Konfrontacyjna postawa Rosji, łamanie postanowień wynikających z dokumentów OBWE oraz utrudnianie zaangażowania się Organizacji w regionie WNP wskazują na cywilizacyjne różnice, dzielące Rosję od świata zachodniego. Przemawia za tym także zablokowanie przez to państwo przyjęcia dokumentu na temat sytuacji dzieci w konfliktach zbrojnych oraz nominacji Freimuta Duve na kolejną kadencję Przedstawiciela OBWE ds. Wolności Mediów. W ostatnim roku F. Duve niejednokrotnie wypowiadał się krytycznie o sytuacji mediów w Rosji, zwłaszcza w kontekście militarnej operacji w Czeczenii, oraz wstawiał się do władz w sprawie A. Babickiego, korespondenta Radia *Liberty*, zatrzymanego w Czeczenii przez władze rosyjskie. W kwestiach związanych z prawami człowieka Rosja znajduje sojuszników w takich państwach jak Białoruś i państwa Azji Środkowej. Często zarzucają one Organizacji stosowanie „podwójnych kryteriów ocen wobec różnych krajów”, a państwa środkowoazjatyckie domagają się zrozumienia dla ich odmienności kulturowej. Oczekują od OBWE przede wszystkim zaangażowania na rzecz budowy stabilności i bezpieczeństwa regionalnego. W rzeczywistości OBWE jest w państwach Azji Środkowej postrzegana raczej negatywnie, wyjątek stanowi tu działalność Wysokiego Komisarza ds. Mniejszości Narodowych, Maxa van der Stoela<sup>31</sup>.

Państwem najbardziej rozczarowanym ewolucją OBWE pozostaje jednakże Rosja, która przez lata starała się uczynić z tej organizacji wiodący element w europejskim systemie bezpieczeństwa. Postulowała m.in. zreformowanie organizacji na wzór ONZ, utworzenie organu na wzór Rady Bezpieczeństwa oraz nadanie OBWE charakteru formalnoprawnego. Można oczekiwać, że w przyszłości Rosja, poszukując możliwości wpływu na sytuację w Europie, zechce nadal wykorzystywać forum OBWE do manifestowania swojego stanowiska, a z pewnością będzie blokować wszelką jej działalność uznawaną za niekorzystną dla niej. Ignorowanie OBWE przez Rosję, a z drugiej strony bezradność organizacji wobec problemów istniejących na obszarze poradzieckim i brak odpowiedniego instrumentarium w postaci sankcji, niepochlebnie świadczy o OBWE i podaje w wątpliwość jej przyszłą skuteczność w regionie. Nie bez znaczenia jest także brak woli wywarcia rzeczywistego nacisku na Rosję ze strony państw uczestniczących OBWE, rażący zwłaszcza w kontekście drastycznie prowadzonej przez Rosję wojny w Czeczenii, a motywowany politycznymi potrzebami ułożenia stosunków z tym państwem. W świetle systematycznych walk w tej republice, kontynuowanych bez względu na obowiązujące międzynarodowe standardy z zakresu rozwiązywania konfliktów wewnętrznych oraz praw człowieka, a także

<sup>29</sup> *Statement by the Chairperson-in-Office*, MC(8). Jour/2, Annex 2, 28 November 2000.

<sup>30</sup> *Interpretative statement under paragraph 79 (Chapter 6) of the Final Recommendations of the Helsinki Consultations*, MC (8).Jour/2, Annex 3, 28 November 2000.

<sup>31</sup> W 2000 r. Max van der Stoel za swoją pracę jako HCNM otrzymał kilka nagród, w tym Order Przyjaźni, przyznany przez władze Kazachstanu. Na temat jego działalności zob.: *High Commissioner on National Minorities Report 1999–2000*, 27 November 2000.

braku ukarania winnych naruszeń prawa, tendencje łagodzenia międzynarodowej krytyki Rosji w tej dziedzinie wydają się niesłuszne. Potwierdzeniem tego trendu jest decyzja innego forum międzynarodowego – Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy – z 25 stycznia 2001 o przywróceniu Rosji prawa do głosowania<sup>32</sup>.

Na tempo prac OBWE w 2000 r. miała wpływ również słabość austriackiego przewodnictwa, odpowiedzialnego za bieżącą działalność organizacji. Ze względu na wewnętrzną sytuację w tym kraju – udział w koalicji rządzącej przedstawicieli populistycznej partii Jörga Haidera – partnerzy z Unii Europejskiej bojkotowali Austrię, co stwarzało niekorzystną atmosferę, zwłaszcza na początku roku. Ewidentne były również zaniedbania przewodnictwa w procesie negocjowania dokumentu końcowego ze wspomnianego spotkania Rady Ministerialnej. Uwaga OBWE, jeżeli chodzi o pracę w terenie koncentrowała się na obszarze Europy Południowo-Wschodniej, gdzie mają miejsce trzy największe misje długoterminowe OBWE – w Bośni i Hercegowinie, Chorwacji i Kosowie. Misja OBWE w Kosowie, stanowiąca komponent UNMIK, jest uważana za największe wyzwanie dla organizacji. Do jej zadań należą kwestie dotyczące praw człowieka, praworządności oraz budowy instytucji demokratycznych. W Kosowie OBWE ściśle współpracuje z wieloma organizacjami międzynarodowymi, m.in. z NZ, NATO, UE i Radą Europy<sup>33</sup>. Współpraca ta, rozwijana zgodnie z ideą Platformy Bezpieczeństwa Kooperatywnego, przyjętej wraz z Kartą Bezpieczeństwa Europejskiego, sprzyja zwiększeniu skuteczności poczynań społeczności międzynarodowej w regionie. Jednocześnie pośród tak wielu instytucji zaangażowanych na Bałkanach, maleje przewaga komparatywna OBWE, tym bardziej że jej aktywność ma charakter mało spektakularny.

Biorąc pod uwagę zasady obowiązujące w OBWE, zwłaszcza podejmowanie decyzji przez konsensus i polityczny charakter podejmowanych zobowiązań, można oczekiwać, że w najbliższym czasie nie dojdzie do pozytywnej zmiany w zakresie prowadzonej działalności. Potwierdzeniem tego przypuszczenia wydaje się brak zainteresowania ze strony państw uczestniczących uczczeniem 25. rocznicy podpisania Aktu Końcowego KBWE; nie zorganizowano bowiem z tej okazji spotkania przewodniczących dyplomacji, jak to miało miejsce 5 lat temu.

Dla Polski taka sytuacja oznacza zmniejszenie możliwości korzystania z OBWE jako instrumentu oddziaływania na procesy demokratyzacji na Wschodzie, sprzyjające stabilności i bezpieczeństwu. Dotychczasowa niemoc OBWE wobec nieprzestrzegania demokratycznych standardów u wschodnich sąsiadów Polski, głównie w Rosji i na Białorusi, oraz nieskuteczność w zakresie przeciwdziałania aspiracjom Rosji do odgrywania roli jedyne go arbitra w konfliktach na obszarze WNP sprawia, że OBWE nie spełnia z naszego i europejskiego punktu widzenia najbardziej .....

<sup>32</sup> Rosja została pozbawiona prawa do głosowania w Radzie Europy w kwietniu 2000 r. z powodu naruszenia praw człowieka w związku z interwencją militarną w Czeczenii.

<sup>33</sup> Na temat współpracy OBWE z innymi organizacjami w terenie zob. zwłaszcza: *Annual Report 2000 on Interaction between Organizations and Institutions in the OSCE Area*, 1 November 1999 – 31 October.